

---

---

## RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je rocznik „My Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

\*

### **Ludwika Turowska – *Sześć lat na zesłaniu***

Urodziłam się 7 stycznia 1930 roku w Kupiatyczach k/Przemysła. 10 lutego 1940 roku jeszcze spaliśmy gdy o godzinie 3.00 rano żołnierze radzieccy wtargnęli wraz z miejscowymi władzami do naszego domu i zaczęli krzyczeć, „*wstawaj, ciepło ubierajsja*”. Nie dali swobodnie chodzić po mieszkaniu. Gdy z młodszą siostrą chciałam pójść do ubikacji, a miałam wówczas 10 lat, żołnierz wycelował karabin i sam nas zaprowadził. Rodzice i starsze rodzeństwo wzięli, co mieli pod ręką, i jako tako ubrani opuściliśmy nasz dom rodzinny. Wszystko odbywało się w pośpiechu, bo ciągle nas popędzano.

W Przemysłu – Bakończycach zamknięto nas w wagonie towarowym, którego drzwi zaryglowano od zewnątrz. Było nas 6 osób – mama i tato, siostry Zofia, Władysława oraz brat Stanisław. Byli też i inni podobni nieszczęśnicy. Jechaliśmy w nieznanie przez około 2 miesiące, przy prawie 40 stopniowym mrozie. Gdy pociąg zatrzymywał się, ale było to bardzo rzadko, wtedy otwierano drzwi wagonu, aby usunąć ciała zmarłych. W wagonie było tłoczno, duszno i smutno. Nie dawano jeść, ani pić. Jak rodzice chcieli dać wody dzieciom, to przez małe okienko wagonu spuszczały na zewnątrz jakieś naczynie, aby zaczerpnąć trochę śniegu. Zdarzało się jednak i tak, że wartownik przecinał linkę a naczynie ze śniegiem zostawało na zewnątrz. Był jeszcze jeden sposób na zmoczenie ust wodą. Na śrubach wagonu osadzał się wewnątrz szron i myśmy

po kolei je lizali, ale tylko raz jeden, aby wszystkim wystarczyło, i znowu trzeba było czekać, aby szron pojawił się ponownie. To był jedyny ratunek dla dzieci. Ubikację mieliśmy taką, że mężczyźni wyłubali w podłodze wagonu dziurę i służyła ona dla wszystkich – dzieciom i dorosłym.

Gdy transport dotarł do celu, czekały tam już na nas sanie, na które przede wszystkim lokowano starców i dzieci. Kto co miał, owijał tym dzieci. Sanie powiązano sznurami i tak uformowano długą kolumnę chyba ze 40 sań i zaczęliśmy dalszą podróż. Na nich siedziały przede wszystkim dzieci, dorośli szli pieszo za kolumną. Był bardzo duży śnieg więc sanie wytoczyły jeden tor, więc konie nie mogły zjechać. Wieziono nas bardzo długo. Gdy zatrzymano się gdzieś na odpoczynek Państwo Szalowie stwierdzili, że brak im jednego dziecka. Konie stratowały je do tego stopnia, że ludzie idąc za saniami nie zauważyli nawet szmatki po nim. Ojciec dziecka od razu oszalał i dopiero po roku dołączył do nas.



\*

Ludwika Turowska

Zawieźli nas na posesję Wietlany i rozlokowali w barakach, po jednej rodzinie w izbie. W pomieszczeniu znajdowało się jedno prymitywne zbite z desek łóżko oraz stół. W baraku mieszkało 20 rodzin. Na korytarzu stała kuchnia, która słabo się nagrzewała i trzeba było długo czekać w kolejce do zagotowania chociażby wody. My dzieciaki chodziliśmy do szkoły. Był srogi mróz, a ja biegałam do szkoły prawie boso. Gdy zrobiłam kilka kroków, kucałam i nogę zawijałam w spódniczkę, a miałam taką szeroką góralską. Robiłam znowu kilka kroków i następną nogę owijałam, powtarzając to parokrotnie.

Latem też chodziliśmy do szkoły, a po lekcjach trzeba było iść do lasu ścinać drzewa, które były bardzo duże. Dorośli też pracowali przy wyrębie. Naszym przydziałowym pożywieniem była woda i 20 dkg chleba na dziecko. Pracujący mieli pół kg chleba, ale był to sam piołun, przez co chleb był czarny jak ziemia. Z głodu ludzie dostawali kurzej ślepoty. Wracając nocą z pracy, zbaczali z trasy, bo po zachodzie słońca nic nie widzieli. Bywało, że do rana zamarzali. Pomimo ślepoty musieli chodzić do pracy. Jeżeli ktoś coś przeszkrobał, komendant posiołka zamykał do aresztu, a było to na porządku dziennym.

Po przyjeździe do posiołka tatuś zachorował i nie mógł nawet uklęknąć by odmówić pacierz i chodzić do pracy Mamusia została więc jedynym żywicielem rodziny, a było nas 6 osób. Często podejmowała się ciężkiej pracy w lesie, aby dostać dodatkowo kilka dkg chleba. Na następny rok zaczęto karczować las. W związku z tym każdej rodzinie przydzielono miejsce po wykarczowanym drzewie i tam można było posadzić ziemniaki. Poletko to nie miało więcej aniżeli 1 m<sup>2</sup>. Mamusia dostała gdzieś 2 ziemniaki, poczkowała je i posadziła. Ziemniaki jakimś cudem urosły. Kiedyś dostaliśmy z Polski paczkę, a w niej pół kg masła, 3 cebule i 4 główki czosnku. Tatuś powiedział wówczas do starszej siostry: idź przynieś trochę ziemniaków, a ona przyniosła zaledwie dwa. Tatuś zaś rzekł, że to za mało, ona natomiast rozpląkała się i powiedziała, że gdy dzisiaj wszystko zjemy, później nie będziemy mieli co jeść! Ugotował więc tata te ziemniaki, omaścił je masłem i cebulą, wymieszał to wszystko razem i posmarował tym chleb. Wierzcie mi, że do dziś mam w ustach smak tych ziemniaków. Obecnie nawet po czekoladzie nie czuję takiego smaku. Nigdy w życiu nie zapomnę tych głodowych dni, ciężkiej pracy oraz codziennej pogardy.

Myśleliśmy wszyscy, że nigdy nie wrócimy do domu. Komendant też ciągle nam powtarzał: „jak swego ucha nie zobaczysz, tak i Polsczy nie zobaczysz”. Po utworzeniu armii przez gen. Władysława Andersa wyjechaliśmy do kołchozu. Tam też była bieda. Wszyscy musieliśmy pracować niezależnie od wieku. Głód był okropny. Zbieraliśmy po śmietnikach łupiny z ziemniaków a w młynie można było od czasu do czasu dostać łuskę z prosa. Po ugotowaniu jej i roztarciu pieczono placki na kuchennej płycie. Jak chodziliśmy za potrzebą fizjologiczną to załatwialiśmy z krwią, bo łuska kaleczyła jelita.

Po skoszeniu zboża chodziliśmy na pola zbierać kłosa, mimo tego, że brygadzysta stale nas przepędzał. Wędrowaliśmy też na pola gdy wykopano już ziemniaki. Pamiętam jak kiedyś przyjechał na koniu brygadzysta i batem siekł nas po plecach, a odebrane ziemniaki wyrzucił! Na wiosnę zbieraliśmy też zmarznięte kartofle. Był to już jednak sam krochmal gdy się je rozmroziło, z którego robiliśmy kisiel. Oprócz tego jedliśmy łobodę i oset. Później trochę się poprawiło. Pracowaliśmy na tak zwane „trudodnie”. Były to określone normy, które trzeba było wyrobić w ciągu dnia. Nieraz jednak trzeba było pracować przez kilka dni, aby wyrobić jeden ów „trudodzień” i za każdy z nich otrzymywaliśmy 20 dkg zboża. Jak była to pszenica, to gotowano ją lub jedliśmy surowe ziarna. Mimo to człowiek był nadal głodny.

I tak było do 1946 roku. Wróciliśmy wszyscy do kraju. Tatuś cały czas nie pracował, lecz zawsze się modlił, aby mógł wrócić do Polski i na polskiej ziemi zostać pochowanym. Dzięki Bogu tak się stało. Zaraz po powrocie zmarł i pochowany został w ojczystej ziemi.

\*

### **Anna Charchan – W 1949 na Sybir nas zesłali...**

6 stycznia 1949 roku nad ranem dom, w którym mieszkałam z mamą Katarzyną Szydłowską i dwojgiem moich dzieci (syn Jan miał wówczas 2 lata, córka Stanisława – 5 lat), okrążyli rosyjscy żołnierze. Do wnętrza weszli dwaj z nich i poinformowali, że mamy się natychmiast spakować, ponieważ zabierają nas z tej wsi. Nie tłumaczono więcej nic, a na pytanie dokąd nas zabierają padła odpowiedź „daleko”! Szybko ubrałam dzieci i spakowałam ciepłe ubrania. Nie wolno było zabierać żadnych dokumentów. Wyprowadzono nas na podwórze, gdzie czekała furmanka i przewieziono do „selrady”. Były już tam inne polskie rodziny, które też miały być wywiezione.

Po zgromadzeniu wszystkich będących na liście do zesłania przewieziono nas pod eskortą żołnierzy do Stryja. Tam przebywaliśmy około 3-4 tygodni. Warunki życia były trudne. Trzymano nas w budynkach ogrodzonych wysokim drewnianym płotem. Nie można było podchodzić do ogrodzenia i patrzeć przez szparę. Słyszać było tylko szum miasta. Zakwaterowano nas w dużych salach. Spaliśmy na podłodze na cienkiej warstwie słomy. Dwa razy w ciągu dnia przynoszono gorącą wodę, zupę i kawałek chleba. Raz w tygodniu wieziono nas do łaźni samochodami ciężarowymi pokrytymi plandeką.

Po 4 tygodniach przewieziono wszystkich na bocznicę kolejową i umieszczono w wagonach. Długi eszelon wyruszył w nieznaną drogę na początku lutego 1949 r. Były to wagony towarowe z półkami do spania, z dziurą w podłodze służącą do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Było tak zimno, że woda w butelce trzymana „pod pazuchą” w nocy zamarzała. Po miesiącu jazdy w ciasnocie, głodzie i chłodzie pociąg zatrzymał się. Nie wiedzieliśmy gdzie jesteśmy. Wyszadzono nas i kazano zabrać wszystkie bagaże. Ludzie wysiadali i śniali się na nogach osłabieni miesięczną jazdą bez możliwości wyjścia z wagonów. Mieliśmy się udać do najbliższych położonych zabudowań, które wskazali nam żołnierze. Było zimno i leżał bardzo obfity śnieg. Posadziliśmy z mamą dwójkę dzieci na kufer z naszym dobytkiem zabranym z domu i próbowałyśmy dotrzeć na wskazane miejsce. Mama ciągle się przewracała z osłabienia. Przeraziło nas to, co zobaczyłyśmy, gdy dotarłyśmy pod wskazany budynek. Była na nim umieszczona tablica z napisami w nieznanym nam języku i nieznanym alfabetem – chyba chińskim lub japońskim.

Zewsząd słyhać było płacz, bo nikt nie wiedział gdzie jesteśmy? Następnego dnia zwołano zebranie i powiedziano nam, że jesteśmy nad Amurem w Chabarowskim Kraju, na granicy z Chinami. To był punkt rozdzielczy dla zesłańców. Stąd rozpoczęło się rozwożenie rodzin według kryterium przydatności do różnych prac. Rodziny ze względu na wiek jej członków były kierowane do pracy w tajdze, w kołchozie lub na okoliczne budowy. Po tygodniu ja z mamą i dwójką małych dzieci zostaliśmy przewiezieni do posiołka Suchoputnyj Aeroport pod Chabarowskiem. Przeznaczono nas do pracy przy budowie lotniska i osiedla dla pilotów oraz pracowników lotniska, które miało być zbudowane przez zesłańców. Suchoputnyj Aeroport znajdował się około 20 km za miastem Chabarowsk. W posiołku (osiedlu) znajdowały się baraki, w których umieszczono zesłańców. Było tam 10 baraków. W każdym baraku znajdowało się 20 kajutek o wymiarze 2,5x3m. W nich mieszkała jedna rodzina.

Na terenie posiołka było biuro NKWD. Raz w tygodniu musieliśmy odznaczać tam swoją obecność. Osiedle nie było ogrodzone. Mogliśmy się po nim swobodnie poruszać, ale nie wolno nam było od niego oddalać się. Nie mieliśmy żadnych dokumentów. Na pierwszym zebraniu enkawudzista poinformował wszystkich mieszkańców, że pozostaniemy tu do śmierci. Stąd nie ma ucieczki bo nie mamy dokumentów, a kontrole w mieście odbywają się bardzo często. Wręczył też każdemu przydział do pracy. Mama została przydzielona do prac wykończeniowych na lotnisku, a ja do budowy domów dla personelu lotniska. Do pracy zawożono nas samochodem ciężarowym, a po jej zakończeniu przywożono do posiołka .



Chabarowsk. Wesele Polki Pauliny Partyki. Druga od prawej Anna Charchan.  
Z przodu Jan i Stanisława Charchan

Był początek kwietnia, a tam panowała jeszcze sroga zima. Warunki bytowe były okropne. Byliśmy głodni, bo nikt nie troszczył się o to, co mamy jeść. Za płacę jaką otrzymywaliśmy, musieliśmy się sami utrzymać. W posiołku był jeden sklep spożywczy, ale prawie nic w nim nie było. Żeby coś kupić trzeba było jechać do Chabarowska. Jechało się tam po otrzymaniu przepustki wydawanej przez NKWD. Przepustka była wystawiona na określony dzień i godzinę. Po powrocie trzeba było oddać ją do siedziby NKWD w posiołku.

Straciliśmy nadzieję na powrót do Ojczyzny lub do swoich miejscowości, z których nas wywieziono. Wieś Czyszki, z której nas wywieziono, do 1939 roku była w granicach Polski. Znajdowała się 30 km od Przemyśla (był to dawny powiat Nowy Sambor, województwo Lwów). Po 17 września 1939 roku znaleźliśmy się na terytorium ZSRR. Czyszki zamieszkiwały rodziny polskie i ukraińskie. Nieliczne rodziny polskie opuściły wieś po 1945 roku i wyjechały do Polski. Większość rodzin polskich pozostała jednak na ziemi swoich przodków. Później prawie wszystkie zostały wywiezione w głąb ZSRR. Zesłańcy otrzymywali status „*spiecpieriesieleńca*” (zesłańca na specjalnych prawach)

i byli ludźmi pozbawionymi wszelkich praw obywatelskich – nie posiadali żadnych dokumentów tożsamości, przymusowo pracowali i podlegali ciągłemu nadzorowi NKWD.



Rodzina Charchanów po powrocie z zesłania (luty 1957 r.).

Stoją od lewej: Stanisława, Michał, Anna i Jan.

W środku siedzi Katarzyna Szydłowska

Najciężej żyło się nam za czasów Stalina. Panował wtedy okropny terror i prześladowania. Dopiero w 1956 roku (po wydarzeniach poznańskich w Polsce) pojawiła się szansa na powrót do Ojczyzny. Nie mogliśmy od razu powrócić do Polski. Brakowało mojego męża Michała Charchana. Został on bowiem aresztowany i skazany jako więzień polityczny na 10 lat. Karę odbywał w ła-

grach w okolicach Archangielska. Po zwolnieniu z łagru przyjechał do nas do Chabarowska.

Będąc razem, rozpoczęliśmy starania o powrót do Polski. Było to przedsięwzięcie nader trudne. Wierzyliśmy jednak w powodzenie podjętego trudu. Dowiedzieliśmy się bowiem, że Polska przyjmuje w ramach repatriacji Polaków przebywających w Związku Radzieckim. Nie od razu jednak pozwolono nam na wyjazd. Trzeba było mieć tzw. „wyzow” – czyli zaproszenie od krewnych z Polski. Pokonaliśmy jednak i tę trudność. Zaproszenie do powrotu przysłała nam moja kuzynka z Przemyśla. Za zaoszczędzone pieniądze kupiliśmy, też nie bez trudności, bilety kolejowe i cała rodzina przez punkt repatriacyjny w Terespolu szczęśliwie powróciła do Polski.



\*

Anna Charchan

Wyjechaliśmy z Chabarowska 19 stycznia 1957 roku i 30 stycznia 1957 roku znaleźliśmy się na przejściu granicznym. Do Przemyśla dotarliśmy 1 lutego 1957 r. po 8 latach zesłania. Każdy członek mojej rodziny miał na start życiowy w Polsce garnuszek metalowy, łyżkę i 1 zmianę bielizny. Z tym zaczęliśmy życie w Polsce. Było bardzo biedne, ale jakże byliśmy szczęśliwi, że jesteśmy w Ojczyźnie.

\*

### **Teresa Gospodarczyk – Wywiezieni na Sybir**

Wspomnienia z pobytu na Syberii (Kazachstan) napisałam na podstawie relacji mojej teściowej Natalii Gospodarczyk oraz jej syna, a mojego męża, którzy zostali wywiezieni na zesłanie 10 lutego 1940 roku ze Stanisławowa, a powrócili do Polski w połowie czerwca 1946 roku. Przez wiele lat czas zatarł szczegóły, a mój wiek (83 lata) i stan zdrowia spowodował, że nie jestem w stanie przypomnieć sobie wszystko, co opowiadali mi po powrocie do Ojczyzny. Jedno z tego co pamiętam najbardziej, to że byli szczęśliwi z tego powrotu.



Natalia Gospodarczyk zmarła w Tczewie  
14 marca 1973 r. w wieku 80 lat

Przed II Wojną Światową mój teść Stanisław Gospodarczyk wraz z żoną Natalią oraz synem Stanisławem mieszkali w Przemyślu (ul. Słowackiego, obecnie nr 88 – przyp. J. R.). Teść był zawodowym żołnierzem i po otrzymaniu nominacji na stopień kapitana służył w Centrum Szkolenia Łączności w Przemyślu, gdzie był znanym i cenionym wykładowcą. W 1938 roku został przeniesiony jako organizator szkolenia oficerskiego z Przemyśla do Stanisławowa (obecnie Iwanofrankowsk na Ukrainie).



W końcu sierpnia 1939 roku wraz z oddziałem został odkomenderowany na nadgraniczne tereny zachodnie. Gdy wybuchła II Wojna Światowa walczył do dnia kapitulacji Warszawy, a następnie dostał się do niewoli niemieckiej i całą okupację przeżył w oflagu w Murnau do 1945 roku. Po zakończeniu wojny będąc poważnie chorym został przez władze koalicji angielsko-amerykańskiej przewieziony do lazaretu w Szwajcarii, a następnie w 1947 r. przyjechał do Żywca, gdzie zmarł w szpitalu po dwóch tygodniach i tam został pochowany na cmentarzu parafialnym. Miał wówczas 52 lata.



Stanisław – syn Natalii Gospodarczyk  
jako dziecko przebywał również na zesłaniu

Z chwilą wybuchu wojny jego żona Natalia z 13-letnim synem Stasiem (moim późniejszym mężem) ukrywała się po znajomych, zmieniając często miejsce pobytu, jednak wkrótce została aresztowana i wywieziona w głąb ZSRR. Dnia 10 lutego 1940 r. podjechała pod dom oficerski w Stanisławowie podwoda z NKWD i po pewnym czasie na dworcu kolejowym nastąpiło ładowanie tych rodzin do bydłych wagonów wyścielonych, a raczej posypanych słomą. W wagonach znajdowały się całe rodziny – po około 40 do 50 osób w każdym z nich. Z opisów wiemy, jak wnętrza tych wagonów były przygotowane. Dziura w środku podłogi i dwie półki wzdłuż ścian bocznych, na które ładowali się sprawniejsi i bez małych dzieci.

Moja teściowa była przezorna i już wcześniej suszyła chleb i przygotowała ciepłą odzież. Zabrała ze sobą znaczne toboły, bo nie mając małych dzieci i korzystając pomocy 13-letniego wówczas syna Stasia mogła sobie poradzić z większym bagażem, jak również ze zdobyciem miejsca na półce. Tak żyli ci umęczeni ludzie jadąc przez osiem tygodni w nieznaną dostając bądź nie raz dziennie zupę „wodniarkę” (kapusta i brukiew, bo ziemniaków było w niej mało) i kilka wiaderka letniego „czaju”.

Kolejność tułaczki w transporcie i przerzucanie ich w miejscowościach pośrednich umknęła mej pamięci, lecz pobytom dłuższym była mała osada Prestogorkowa w okolicy Kurganu. Zatrudnieni byli w gospodarstwie kołchozowym położonym w stepie z marnymi zabudowaniami. Było kilkanaście wychudzonych i kłaczystych krów. Znacznie więcej koni, ale brak świń i drobiu. Ludzie poza jednym budynkiem administracyjnym, mieszkali w ziemiankach, głęboko wkopanych w ziemię z jednym oknem w drzwiach wejściowych, które miały osłonę z desek przed wejściem. W środku była sień wiodąca do izby i chlewa dla krowy. Kury miały kącik w izbie mieszkalnej. Dla zesłańców był ogromny barak z przegrodami działowymi, komin i kuchnia. Teściowa zabrała ze sobą dużo wełny, bo świetnie umiała robić na drutach, co po kilku dniach pomogło jej nawiązać kontakt z wdową, która sama mieszkała w ziemiance, gdyż mąż i syn zabrani zostali do wojska. Później obaj zginęli. Teściowa chodziła do pracy w spichrzu, gdzie łątała worki lub szyła ręcznie worki z podartych wojskowych plandek. Zarabiała dodatkowo na jedzenie robiąc z włóczki piękne czapeczki dziecięce i wszelkie inne rzeczy, głównie dla dzieci, po które przyjeżdżali „władcy” z okolicy.

Stasia natychmiast po przyjeździe zawieziono w okolice Kurganu nad rzeką Tobol. Było to pustkowie, bez nazwy, step dla wypasu koni i stacja poczty. Wyznaczono go do obsługi koni na oddalonej w stepie stacji pocztowej. Staś był chłopcem wyrosniętym i oprócz tego należało do niego obrządzanie koni, koszenie trawy i ich karmienie. Transport poczty odbywał się wyłącznie konno. Była to miejscowość tak odległa, że nie dotarła tam nawet wiadomość o tworzonej Armii Kościuszkowskiej i dowiedział się o tym dopiero po bitwie pod Lenino. Na placówce gdzie go zatrudniono byli sami Kozacy, niezdolni do służby wojskowej. Byli dla niego bardzo serdeczni. Często wspominał dziadka Saszę, który nie zjadając swojej porcji, oddawał mu resztki. Był bezzębny, to też skórki chlebowe przypadały Stasiowi. Praca polegała na tym, aby codziennie jeździć wierzchem z listami w zaplombowanych workach, jechał sam pokonując odległość 60 km do następnego punktu. Nie jeździli nocą, bo dróg nie było, jeździli więc na wycucie. Co kilometr był wkopywany słup, którego w czasie wichury stepowej lub zawiei nie było jednak widać. Drzew nie było żadnych, a tylko rozsypane w przestrzeni kępy krzaków.

Ogromnym zagrożeniem były wilki. Każdy jeździec dostawał za pokwitowaniem kindżał, jako jedyną ochronę przed atakami wilków. Stasia bagnecik jest w pamiątkach wnuka Tomka. Zabił nim jednego basiora, gdy ten wczepił się kłami w szyję konia. Nie przebił koniowi tętnicy, a Staś zdążył kładąc się na szyi konia podciąć gardziel wilkowi. Przed wilkami uciekał często. Staś miał za zadanie odwożenie poczty do stacji komunikacji wodnej umieszczonej nad Irtyszem. Jechało się 120 km raz tylko zmieniając konia. Bywało nieraz, że konie

kluczyły i zawsze same wracały na trasę, której przecież nie było widać. Konie były małe, włochate, ale bardzo wyczuwały niebezpieczeństwo i znały trasę przejazdu. Tam Stasio nabrał miłości do koni, co idzie za nim przez pokolenia.

Organizacyjnie rok obejmował dwa okresy. Trzy letnie miesiące jeździło się „taczanką” i wtedy wiozło się dodatkowe worki z różnymi paczkami. Bardzo ciężko było konikowi, więc zwykle Staś szedł obok pieszo. Przez dziewięć miesięcy jeździł wierzchem, co koń lepiej znosił. Każdy ślad przejazdu był po godzinie całkowicie zawiany piaskiem, który falował w przestrzeni. Przeżył dwa wypadki – jeden walką z wilkami mocno poraniony on, ale gorzej poraniony był koń. Dotarł do celu pieszo, ciągnąc konia. Drugi wypadek przeżył jadąc na koniu po oblodzonych zboczach i wpadł razem z koniem między kry do Irtyszu.



Teresa Gospodarczyk – synowa Natalii Gospodarczyk

Jak wspomniałam wcześniej nikt przez pięć lat nie wiedział nic o wojnie, bo nie było gazet, a przesyłki były plombowane i nie można było nic przeczytać. Kozacy na stanicach poza jednym, który umiał czytać – byli analfabetami. Pierwszą wiadomość o formującym się wojsku polskim Staś otrzymał po bitwie pod Lenino. Dostali wtedy dodatkową porcję jedzenia.

Do kraju wracali przez obóz zbiorczy na Ukrainie, gdzie dostali dokumenty na przejazd. Wrócili w połowie czerwca 1946 r. mając w worku kilka szmat, 2 cynowe garnuszki, 2 takie same talerze, 2 łyżki, 1 nóż, bagnetek a z dużych zasobów biżuterii, którą zabrali z sobą jadąc na zesłanie pozostał złoty łańcuszek z medalikiem – pamiątka chrztu.

Po powrocie Staś rozpoczął naukę, ukończył szkołę średnią, zdał maturę. Dzięki nie ujawnianiu swego pochodzenia, przy pomocy znajomych z Warki wyrobił sobie zaświadczenie, że ma pochodzenie chłopskie i dlatego dostał się bez problemu na studia. Ukończył Politechnikę Gdańską w 1952 roku. Pracował w Instytucie Elektryfikacji i Mechanizacji Rolnictwa w Starym Polu na stanowisku kierownika działu. Już często od powrotu z zesłania chorował na owrzodzenie żołądka i astmę (jak ojciec). Zmarł 14 marca 1978 r. w Tczewie mając 51 lat.

Teściowa przed wojną była nauczycielką języka francuskiego i po powrocie mocno schorowana chciała podjąć pracę, ale nie otrzymała jej ani w szkolnictwie, ani jako tłumacz. Uczyła prywatnie francuskiego. Jak wróciłam z robót w Niemczech w Gdańsku poznałam Stasia. Rozumieliśmy się przez zbliżone losy. Pobraliśmy się w 1952 roku. Początkowo zamieszkaliśmy w Malborku, a od 1962 roku w Tczewie, gdzie otrzymałam mieszkanie w związku z przeniesieniem w pracy. Z nami mieszkała teściowa. Zmarła w 1973 roku w wieku 80 lat. Razem ze Stasiem pochowana jest w Zbliwie, gdzie od 1969 r. w rodzinnym grobowcu spoczywała nasza starsza córka (14 lat). Ja zostałam z młodszą córką, obecnie zamężną, która ma 2 synów i mieszka w Turzy.

Niniejsze wspomnienia dedykuję swoim wnukom, aby pamiętali o tragedii, która spotkała Polaków i przekazywali je pokoleniom oraz Panu Jerzemu Rożko z Przemysła, który przez 50 lat wytrwale dążył do ustalenia losów swego chrzestnego ojca, jego rodziny i cel ten osiągnął.